

Anna

Korfil

Robaki



Anna Korfil

# Robaki

**Wersja Demonstracyjna**



Wydawnictwo Psychoskok  
Konin 2019

Anna Korfil  
„Robaki”

Copyright © by Anna Korfil, 2019  
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Żadna część niniejszej publikacji nie  
może być reprodukowana, powielana i udostępniana w  
jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: Wioletta Tomaszewska  
Redakcja i korekta: Bogusław Jusiak  
Korekta: Joanna Barbara Gębicka  
Projekt okładki: Robert Rumak  
Skład epub, mobi i pdf: Kamil Skitek

ISBN: 978-83-8119-399-3

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.  
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin  
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>  
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>  
e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

## PROLOG

Czasem, kiedy przymknę oczy, wciąż widzę zielone, rozległe pola starego Jeschkego, po których biegałem, gdy byłem chłopcem. Stary Jeschke co roku obsadzał je rzepakiem. Przedzielone asfaltówką rozciągały się aż po horyzont. Latem żółciły się z oddali a gdy wiatr wiał od pola, słodki zapach rzepaku niósł się aż do miasteczka.

Po drugiej stronie szosy, za niewielką stacją benzynową, rysowało się w dole skupisko domostw z górującą nad nimi wieżą zegarową starego, XVI-wiecznego kościoła (czasem zastanawiam się, czy jeszcze stoi).

To było Pringsheim, miasto mojego dzieciństwa i lat dorosłych. Spędziłem tam pół życia. Toczyło się ono powoli, powtarzalnie, jak pianie koguta u Kirschnerów, z którym ci ostatni co dzień wstawali. Rano oboje szli w pole, razem pracowali, wracali na obiad, potem znów szli w pole. Kończyli późnym popołudniem. Nawet kolację jedli razem. Zimą w domu, ciepłą wiosną i latem w ogrodzie. Pod rozłożystą, starą jabłonią, na zbitym z sosnowych desek niewielkim stole. Pół życia tak ze sobą przeżyli.

I takie było życie w miasteczku. Spokojne i monotonne.

Raz tylko, jak Liche po pijaku w polu zasnął i kombajn na niego najechał, tydzień w miasteczku ludzie o tym mówili. Ale to było ze czterdzieści lat temu. Od tego czasu codzienność monotonią przesiąkła. Życie toczyło się stałym rytmem.

Tak... Tamte dni pamiętały zwyczajność.

## 1.

24 października był dniem moich urodzin, których nie obchodziłem. Przypomniałem sobie o nim, wyłączając elektroniczny budzik.

„I znów jesteś starszy” – słyszałem niemal nad uchem głos matki, siadając na łóżku.

– Mam nadzieję, że i mądrzejszy – dokończyłem za nią na głos.

Birgit podniosła głowę znad poduszki.

– Co?

– Nic – mruknąłem, wstając z łóżka. – Śpij.

\*

Matka nigdy nie wyprawiała nam urodzin. A była nas trójka: ja, moja siostra Fria i Geb, który zmarł potem w szpitalu w Portofino.

Nie było tortu, bo jak mawiała matka, „cukier to śmierć”. Świeczki kupowała tylko duże, woskowe. Trzymała je w szufladzie „na czarną godzinę” – na wypadek braku prądu. Nigdy nie marnowała pieniędzy na rzeczy niepotrzebne, które nazywała „durnotami”. Była zbyt oszczędna. W tym przypadku byłaby to „durnota nieekonomiczna”.

Raz tylko, a miałem wtedy dziewięć lat, zapragnąłem mieć tort urodzinowy. Tak jak inne dzieciaki. Na dziesiątą rocznicę ślubu, która przypadała w dzień moich dziewiątych urodzin, matka upiekła tort bezowy. Nigdy nie obchodziła żadnych urodzin ani rocznic, ale tamtego roku dała się namówić ciotce Bercie, która po przeprowadzce ze wsi do dużego miasta nabrała miastowych nawyków.

Pamiętam, jak duży, bezowy tort pachniał w kuchni na stole okrytym kwiecistą ceratą... Matka nie lubiła obrusów, uważała, że są „nieekonomiczne”. To było jej ulubione słowo. Przejęła je od ciotki Berty, która wyszła za księgowego, pracującego w fabryce Mercedesa. Mąż ciotki był bardzo oszczędny. Nie tylko w słowach i gestach, ale przede wszystkim twardą ręką trzymał pieniądze. Zawsze wszystko rozpatrywał w kategoriach ekonomiczności i nieekonomiczności. Matka przejęła od nich te zwyczaje. Dlatego trzy razy w tygodniu gotowała chlebówkę, której tak nie cierpiałem.

Tamtego dnia, jak tylko opróżniła się kuchnia, zabrałem tort do swojego pokoju na górze. Wetknąłem w niego jedną ze świec, którą znalazłem w szufladzie i zapaliłem. Siedziałem obok, zastanawiając się nad życzeniem, gdy wpadła matka.

– Tu jesteś, mały złodzieju! – wykrzyknęła, zdejmując laczek.

Pomyślałem wtedy, że jak nie ucieknę na drzewo, znów będę bokiem przez kilka dni na krześle siadał. Podbiegłem do okna, zdążyłem uchwycić się parapetu, gdy złapała mnie za nogi i zaczęła okładać z całych sił, w rytm wykrzykiwanych przez siebie słów:

– Już ja cię nauczę, że nie wolno ruszać cudzej własności! Nie-ru-szaj-co-nie-two-je! Nie- ru-szaj! Nie-ru-szaj!

Z bólu zsunąłem się na podłogę. A ona, sapiąc jeszcze z wysiłku, odgarnęła włosy za ucho.

– No! – rzuciła laczek na podłogę i wsunęła stopę.

Zgasiała świeczkę i wyszła z pokoju z tortem, którego nawet nie posmakowałem. Potem, każdego roku mówiła: „Znów jesteś o rok starszy. Mam nadzieję, że i mądrzejszy”.

W tym fatalnym dniu, o którym wolałem nie pamiętać, wracałem z pracy czarną, asfaltową drogą, obserwując burzowe chmury zalegające nad polami starego Jeschkego. Radio w aucie trzeszczało jak stary Sonneberg mojej matki, przez co musiałem kilka razy zmieniać stację.

Chciałem zdążyć jeszcze przed burzą. Zamierzałem jechać prosto do domu, ale zapaliła się lampka rezerwy i skręciłem w stronę stacji benzynowej Berndta. Podjeżdżając do dystrybutora, minąłem starego Wilkego i Karla Schroedingera, idących w stronę zaparkowanych nieopodal aut. Tak jak ja, mieszkali tutaj od urodzenia. Stary Wilke nosił się zawsze tak samo: w ciemnej, watomanej kurtce, wytartych, brudnawych dżinsach i starych gumiakach. Można go było poznać po wielkiej, barczystej sylwetce, czuprynie rozwichrzonych, kędzierzawych, siwiejących włosów i niegolonej brodzie. Babka Irma zawsze kiwała głową na jego widok. „Jak wstał, tak poszedł. Brudem zarośnie” – mówiła.

Pamiętam, jak raz w sklepie żona grubego Ebla, Martha, równie gruba jak on, zamarudziła, podając Wilkemu zakupy, że mógłby się ogolić. Spojrzał na nią wtedy spod oka.

– A niby dla kogo? – zachrypiął przepalonym głosem (zawsze uważałem, że palił za dużo).

– Dla przyzwoitości – westchnęła. – Żał patrzeć...

– Dla przyzwoitości to ludzie do kościoła chodzą –  
odpowiedział, a potem zabrał się i wyszedł.

Później, zaczął robić zakupy w supermarkecie.

Widać też lubił spokój.

Jak mój ojciec.

## 2.

Tamtego popołudnia Schroedinger szedł i krzyczał do jego wielkich pleców. Wilke niewzruszony usiadł za kierownicą swego białego dostawczaka. Położył na niej swoje wielkie łapy, a potem wychylił się, by złapać za klamkę. Bez słowa zatrzasnął drzwi i odjechał. Karl ze złości rzucił czapkę o bruk. A nigdy tego nie robił, zawsze zasłaniał nią zakola i jajowatą głowę.

W szkole była grupka chłopaków, którzy złośliwie przezywali go „Jajo”. A on, jednego dnia pobił wszystkich. Wrócił do domu z rozciętą wargą i w podartej koszuli, ale nikt więcej nie nazywał go „Jajo”. Jeschke mawiał, że ludzie, którzy mają zakola, mają mózg wyjedzony przez głupotę. To akurat w przypadku Schroedingera w ogóle się nie sprawdzało.

Za osobiste nieszczęście uważał fakt, że urodził się w 1978, dzień po tym, jak Karol Wojtyła został papieżem, po którym matka nadała mu imię. Leżała wtedy na porodówce w Methinsen i uznała to za znak od losu. Karl nie lubił swego imienia, dlatego często przedstawiał się jako Horst. Wolał być kojarzony z gniazdem drapieżnego ptaka niż facetem w białej sukience, czego jego matka w ogóle nie rozumiała.



Wychowywała go sama, dlatego był trochę inny. Pamiętam, jak kiedyś wracałem ze szkoły, a dzieciaki namawiały go, żeby poskakał z nimi przez kałuże. On tylko popatrzył i powiedział, że nie może się ubrudzić. Że po co skakać przez kałuże, jak można je obejść. I tak trochę też to życie, obchodził... naokoło... Raz nawet, przeczytał mi swoje wiersze. Pomyślałem, jak to niesprawiedliwie Bóg rozdaje ludziom talenty i że mnie nie dał żadnego... Mnie, nawet czytanie przychodziło z trudem. Od matki zawsze dostawałem przez łeb.

– Jak można w jednym zdaniu zrobić aż tyle błędów! – krzyczała.

– Kiedy mi literki skaczą jak głupie!

– Literki nie są głupie! – lała mnie zeszytem po głowie. – To ty jesteś głupi! Naucz się wreszcie poprawnie pisać! Słyszysz?! Inaczej zrobię z tobą porządek!

Jakby mi cała mądrość niezdarnie pisanych literek z zeszytu miała wejść do głowy...

Gdy umarła, zamiast różańca włożyłem jej do rąk książkę Janusza Korczaka Jak kochać dziecko: dziecko w rodzinie.

– Co to? – spytała Birgit. – Gdzie różaniec?

– Niepotrzebny jej – odpowiedziałem ze spokojem. – I tak w Boga nie wierzyła.

\*

Teraz, gdy jestem tu i patrzę na to obce miasto, widzę zwyczajność, którą my utraciliśmy. Spienione fale tak samo przyplývają do brzegu, co dnia. Ludzie żyją spokojnie.

Codziennie wychodzą do pracy i codziennie z niej wracają. W niedzielę na mszę biją dzwony.

To jest normalność.

Żyję w normalnym kraju.

T e r a z.

**Koniec Wersji Demonstracyjnej**

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

